

Michał Skrzypczak

Epika – Rapsodia nieumarłych

Ridero

2026

Redaktor: Ewelina Biernaś
Korektor: Karolina Przybył
Korektor: Lucyna Skrzypczak

© Michał Skrzypczak, 2026
© Michał Skrzypczak, projekt okładki, 2026
ISBN 978-83-8455-037-3
Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

SPIS TREŚCI

Prolog: Marsz	6
I. Służba	24
II. Wróg	105
III. Spotkanie	210
IV. Rezurekcja	281
Epilog	303
Leksykon	305
Powszechna historia Rzeszy w latach 1920–1970	333
Krótką teoria światów	347
Uwagi końcowe AD 2007	349
Dziękuję i proszę	351

...a zatem spisujemy, odwieczni panowie wszechrzeczy, słowa te, które następują, ażeby przestrogi dla niepokornych i żądnych władzy ponad światami udzielić. Albowiem równowaga musi być zachowana, a wszelka istota materii i energii winna pozostać w swojej kolebce dla stabilności bytów duchowych i fizycznych światy wszechrzeczy zamieszkujących.

Niech nikt nie waży się podnieść ręki na porządek u zarania ustalony, niech nikt nie rusza szturmem wojsk swoich na to, co raz stworzone, a nie może być zmienione, albowiem wystąpi silniejszy od niego i moc jego i władzę przeciw niemu skieruje.

Bo któż mieczem walczy, od miecza ginie, ten zaś, kto zmienić chce światy, tego światy zmienią.

W niniejszych więc wersach słowa przestrogi dla niepokornych raz wtóry zawrzeć chcemy. Nie z sił naszych braku spisujemy słowa niniejsze czy braku odwiecznej inspiracji, która nigdy nie przeminie, ale samego faktu, iż choć historię zmieniać jest łatwo, wszelkie istoty podległe jej prawom jako byty odrębne swoje pojmowanie mają. A materia i energia wszechświatów też pamięcią władają.

Zanim więc podniesiesz oręż swój, umysłem i umiejętnością wstrząśniesz tymi, którzy są słabsi od ciebie, po stokroć przestroge tę przeczytaj, a gdy zrozumiesz, poznaj opowieść, która nie dla ukazania straszności, które przeminęły, została spisana, ale dla ugruntowania nauki naszej.

Albowiem choć wiedza jest martwa, życia jest nośnikiem. Wiedza buduje, nawet jeżeli zniszczyć wprzód musi podstawy.

Historia jest bogów rzeczą, nie tobie przyszło nią władać!

PROLOG: MARSZ

Drzewa. Tylko one odważyły się śpiewać maszerującym pośród gęstwy i zapatrzonego w dal tłumu. Nie był to zwykły szum liści poruszanych powiewem. Z ciemności lasu aż do traktu wydeptanego setkami stóp płynęła monotonna pieśń pełna bólu, rozpaczy i ledwo uchwytnego uniesienia.

Oczy.

Skupione, podążające tęsknie za tymi, którzy odchodzą. Choć jeszcze kilka dni wcześniej radosne, teraz stały się wilgotne od łez.

Kobiety, starcy, dzieci... Tylko oni zostali. Nie tak miało to wyglądać! Nie taka miała być ich przyszłość.

Pełna jedności i pokoju? Owszem — zabiedzony tłum zjednoczył się w pożegnaniu bliskich i niepewności nadchodzących dni. Gdzie jednak podział się pokój?

Wspomnienie szczęśliwych dni zniknęło w huku i zgrzycie wojny. I tak pokój stał się ledwie pyłem, w którym z rozkoszą tańczył się nieubłagany los.

Choć wielu próbowało, nie zdołali pogodzić się ze swoją dolą. Raz opuściwszy dom, nie mieli już powrotu. Milczący pochód osada za osadą zabierał tych, którzy mogli pomóc w powstrzymaniu zagrożenia, przez które świat ukrył się pod całunem śmierci, a serca niewinnych pogrążyły się w żalu.

Oprócz snującego się tłumu traktem maszerował ktoś jeszcze. Tysiące par butów wybijały regularny rytm.

Kolumna piechurów.

Rozciągnięta tak bardzo, że pierwszy nie widział ostatniego, ostatni zaś nie mógł dostrzec pierwszego. Nawet dowódca pozostawał postacią niemal anonimową. Ot duchem, który skinieniem opancerzonej ręki dawał znać grupie, że nadszedł czas branki. Branki, o której nie śniono nawet w najgorszych koszmarach.

Żyjące w swej idylli leśne elfy nigdy nie były skore do wojowania. Mężczyźni na widok zbliżającej się kolumny opuszczali instrumenty, na których grali muzykę w podzięcie dla drzew, modląc się o pomyślną przyszłość. I już w następnej chwili byli prowadzeni przez rosłych wojowników. Nie mogli się nawet pożegnać z rodzinami.

— Dlaczego? — pytali nieliczni, którzy w oszołomieniu byli w stanie się odezwać. Nie otrzymywali jednak odpowiedzi. Stawiano ich na tyle pochodu i wraz z nim wyruszali w nieznaną.

Tysiące maszerujących mężczyzn. Wśród nich jeden niewyróżniający się niczym leśny elf. Puste spojrzenie. Na twarzy obojętność. Strudzony drogą, obleczony pyłem, obserwował mijany krajobraz.

Kolejna leśna osada. Niemal taka sama jak ta, z której wyruszył. A może pochód zrobił pętlę? Zawrócili? Nie... To niemożliwe. To tylko urojenie.

Elf poczuł w sercu ukłucie tak żywe, jakby dane mu było ostatni raz spojrzeć na opuszczany dom. Miejsce, w którym zostawił swoją zrozpaczoną, nic nierozumiejącą dziewczynę.

Iaen jej było na imię.

— Nie odchodź — mówiła, gdy on szukał krótkiego miecza, którym nigdy nie nauczył się dobrze władać.

— Chase, nie odchodź. — Do oczu młodej elfki napływały łzy.

Elf zapiął pas i zabezpieczył ostrze. Nie mógł być dłużej obojętny. Spojrzał na Iaen i widząc straszny ból malujący się w jej oczach, nie wytrzymał. Maską opadła. Chwycił ją w ramiona, objął z całych sił. Ostatni raz dotykał jej cudownego

ciała, teraz drżącego w rytm kolejnych ataków nieukojonego szlochu.

Nie mówił nic. Czuł, że jeśliby spróbował, sam by się rozpląkał. Nie mógł do tego dopuścić. Nie mógł pokazać Iae, jak bardzo sam się boi. Jak bardzo jest zdezorientowany.

Ich intymna chwila została gwałtownie przerwana. Jeden z podoficerów stanął tuż obok i szturchnął go czubem ciężkiego, nabitego ćwiekami buta.

— Dość tego! — warknął. — Do szeregu! Starczy już tej dziecinady.

Chase poczuł nagły gniew. W jednej chwili zapragnął zdzielić upartego trepa w łeb, ale Iae go powstrzymała. Natychmiast się opamiętał. Przywarł do niej jeszcze silniej. Ostatni raz. Powoli odszukał jej mokrą od łez twarz. Pocałował ciepłe, pełne wargi.

— Kocham cię — rzekła elfka, gdy ich usta się rozłączyły. — Zawsze będę cię kochała. Będę śpiewać naszemu drzewu, aby przywiodło cię z powrotem całego i zdrowego.

— Też cię kocham — odparł Chase. Chciał dodać coś jeszcze, ale gardło miał ściśnięte.

Było to ich pierwsze i jedyne wyznanie miłości i jednocześnie zapowiedź wiecznej rozłąki.

Tak też się pożegnali. Chase śledzony napastliwym spojrzeniem podoficera, Iae zaś klęcząca wśród zielonej ściółki, pozostawiona sama ze swoją rozpaczą. Nawet drzewo, które było im najbliższe i dawało schronienie oraz żywność, zaszumiało, żeby po chwili rozpocząć śpiewny lament. Las wypełnił się tonami pełnymi smutku i nostalgii.

Wspomnienie — bolesne i wciąż żywe — zaczęło się rozmywać. Wróciło zmęczenie i monotonny odgłos maszerującego oddziału. Chase znów widział świat takim, jakim był naprawdę.

Osada, którą mijali, nie była jego domem. W ogóle nie była nawet do niego podobna. Żadna z twarzy nie przypominała mu tej jedynej, ukochanej. Nie było tam umiłowanej Iae. Nie było drzewa, które ich karmiło.

Czoło kolumny zagłębiło się w las. A ten był inny niż kiedyś. Choć wciąż pozostawał kolebką elfów, stał się bardziej mroczny, jakby chciał zamknąć się w sobie i odciąć od prawdy świata zewnętrznego.

Nikt z idących nie wiedział, czemu maszerują. Od dawna chodziły słuchy o wojnie. Ale dlaczego wmieszano w nią elfy? Czy świat nie ma wystarczająco dużo bezczelnych ludzi i śmierdzących kuźnię krasnoludów? Niech oni prowadzą swoje bezsensowne wojny — mawiano.

A jednak... Leśne elfy też nie były niewinne. Fakt, żyły w symbiozie z lasem i jego stworzeniami, wśród dźwięków fletu, liry, harfy... ale czasem też wśród świstu strzał i brzęku mieczy. Nie one jednak wywołały straszliwą wojnę, która pożerała teraz Świat. Tym razem naprawdę nie mogły sobie nic zarzucić. Prowadzone w nieznaną, nie wiedziały, z czym mają się zmierzyć.

Mogły tylko czekać, aż los zadecyduje, co dalej.

• • •

Od kiedy rozpoczął się marsz, słońce już wiele razy wstało i zniknęło za horyzontem. Ci, którzy zostali powołani jako pierwsi, z jękiem ściągali wieczorami buty, by choć trochę ulżyć pokrytym pęcherzami stopom. Wielu z nich traciło powoli wspomnienia rodzinnej osady. Inni zazdrościli tym znieczulonym szczęśliwcom, bo ani płomień ogniska nie był w stanie rozświetlić mroku zdeptanej duszy, ani migotliwe gwiazdy nie dawały ukojenia.

Nocą wszechogarniające zmęczenie przeważało nad głodem, chyląc szalę naturalnych potrzeb w kierunku snu. Obojętni zaś, częstokroć na wszystko, piechurzy zasypiali jak zwykle prędko — snem niespokojnym i pełnym niepokojących widziadeł lub obrazów utraconego szczęścia.

Tym razem Chase nie mógł zasnąć. Nie był też w stanie prosić drzew o pożywienie. Skulił się na skrawku ziemi pokrytym wątłą trawą i mchem i obserwował innych. Pragnął odnaleźć

swoich ziomek, tych, którzy wraz z nim przystąpili do pochodu, ale nie dostrzegł nikogo.

Zaraz jednak uświadomił sobie, że wcale tego nie chce. Wzrost ten przywołałby odpychane z wysiłkiem wspomnienia, tak jeszcze żywe, tak raniące... Podobnie musieli myśleć inni — każdy spoczywał osobno, nie szukał towarzystwa, ciepła towarzyszy, czegoś, co mogłoby dodać otuchy.

Sen nie nadchodził. Chase chwycił rękojeść miecza spoczywającego w przytroczonej do pasa skórzanej pochwie. Ostrze wysunęło się z brzękiem, aby zaśnić w świetle bijącym z pobliskiego namiotu. Oręż wykonany był z wielkim kunsztem. Złotą rękojeść ozdobiono kamieniami szlachetnymi: jeden umieszczono na samym środku, trzy zaś mniejsze znajdowały się na obrzeżach. Z wąskiej podstawy wyłaniało się wykute z żelaza ostrze. Brzeży znaczyło kilka niewielkich szczerb — ślady minionych czasów, których Chase nie mógł pamiętać.

Miecz ten należał niegdyś do jego ojca.

Elf próbował przypomnieć sobie dzieciństwo, ale przychodziło mu to z trudem.

Wysilił umysł i dojrzał jedną scenę. W głębi duszy usłyszał głos. Krzyk ojca:

— Uciekaj!

Pusty dom... On i ojciec sami... Opuszczona osada...

Ten sam obraz nawiedzał go czasami w snach, zawsze jednak, gdy budził się rankiem, zapominał o wszystkim. Nigdy wcześniej nie próbował wywołać z pamięci tak odległych wspomnień. Nie próbował — bo nie chciał. Życie z Iaen było takie cudowne, takie... prawdziwe.

Na myśl o ukochanej Chase zacisnął powieki. Chociaż bronił się i nie pozwalał sobie na łzy, wkrótce poddał się fali wspomnień.

Czułe szept, zielone oczy patrzące na niego z ufnością i uczuciem, ciepło jej ciała, zapach jej włosów...

— Straciłem — jęknął. — Straciłem ją... na zawsze!

Zapłakał cicho nad swoim losem. Tłumiony szloch wstrząsał jego ciałem. Hamowane dotychczas łzy spływały z rozpalonej twarzy na zimną ziemię, aby wrócić tam, skąd każdy leśny elf wziął swój początek.

Żadne jednak drzewo nie ulitowało się nad nim. Wszystko wokół było obce i niewzruszone. Nikt i nic nie chciało dzielić z nim smutku. Pierwszy raz w życiu Chase poczuł kielkującą gdzieś w głębi serca nienawiść do lasu.

I ty, draniu — myślał w gorączce — opuścisz mnie!

Chciał być silny. Wiedział, że jest zdany tylko na siebie.

Westchnął głośno. W jego oddechu nie pozostało już nic, co świadczyło o niedawnej słabości. Policzki i oczy wyschły, jakby nigdy nie zaznały łez. Serce, uspokojone, na powrót zaczęło miarowo pompować krew.

Wśród odgłosów prywatnych bitew rozgrywających się w umysłach każdego z elfów Chase'a ogarnęła senność. Schował porzucony w trawie miecz ojca. Oparł się na lewej ręce. Nie minęło wiele czasu, gdy i on, utulony dotykiem wilgotnego mchu, dołączył do poczty śpiących niespokojnie mężczyzn.

• • •

Poranek nadszedł szybko, znienacka, jakby chciał zaskoczyć półprzytomnych mężczyzn i zadziwić ich swoją nagłą wizytą. Choć zachmurzone niebo dopiero rozjaśniało się szarością, obowizkiem wstrząsnęło wezwanie dowódcy:

— Wstawać! Wstawać migiem!

Czuwające przez sen elfy natychmiast poderwały się z ziemi. Zesztywniałe członki stawiały opór, ale umysły, znużone niekończącym się oczekiwaniem, błyskawicznie odzyskały świadomość.

Głos dowodzącego dotarł do ich uszu po raz pierwszy od rozpoczęcia marszu. Do tej pory był dla piechurów bardziej legendą — teraz ujawnił się w całej swej krasie i w pełnym rynsztunku bojowym.

Niewielu elfickich wojowników mogło się poszczycić tak wspaniałym ekwipunkiem. Na zwieńczonej długimi kasztanowymi włosami głowie lśnił hełm. Wykuto na nim obrazy bitew, elfie sylwetki wznoszące w niebo łuki i śmiałych wojowników szarżujących na krępe bestie o gadzich pyskach.

Szeroki tors dowódca skrywał pod ciężkim kirysem. Była to rzadkość nawet wśród największych wojowników. Purpurowa wstęga i łopocząca na plecach peleryna mówiły jasno o pochodzeniu elfa. Był gwardzistą jednego z najpotężniejszych monarchów nieprzebranych puszczy, być może nawet samego Miraala IV — wybranego strażnika Drzewa Życia, które, jak mówiły wieńczenia leśnych elfów, było matką wszystkich istot lasu.

Dla każdego stało się jasne, że na barkach rekrutów spoczęła wielka odpowiedzialność.

— Do broni, bracia! — zaczął dowódca. — Nasza droga dobiegła kresu. Zło nadchodzi tu z południa!

Harmider budzącego się ze snu obozowiska ustał. Wszystkie twarze zwróciły się w stronę przemawiającego. Serca wielu zabiły żywiej.

— Myślicie, być może — mówił dalej — że za nic mam wasze osady, rodziny, do których opuszczenia zmusiłem was ja: dowódca sił zbrojnych miłościwego króla Ferila i naczelnik nieskończonych elfickich lasów!

O tym władcy nie słyszał nikt, w tym Chase obserwujący dowódcę przez szparę między dwoma innymi słuchaczami.

Feril? — myślał. — Kim on może być? W co nas uwikłali ci patriarchalni bufoni?

I chociaż nie chciał tego uczynić, jego usta same dały ujście skrywanym emocjom:

— Kimże jest ów król, ten Feril, że ośmielił się porwać nas z naszych domów i pognać w las niczym jeńców wojennych?!

Zapadła zupełna cisza. Nikt nie śmiał się poruszyć. Chase rozejrzał się na boki. W oczach stojących obok mężczyzn malował się strach, ale i cicha zachęta, jakby chcieli, aby nie cofał się z obranej już drogi.

— Kto śmiał się odezwać? — spytał dowódca z kamiennym wyrazem twarzy. — Kto pyta o Ferila?

Stojący obok Chase'a elf trącił go łokciem, po czym szepnął:

— Gadaj, głupcze, albo gównem się dowiemy!

— Na imię mi Chase — podjął z nową odwagą. — Zostałem zwerbowany... kilka dni temu.

Dowódca pokiwał głową.

— Otóż — zaczął — Feril jest prawowitym następcą tego, który musiał odejść: strażnika Drzewa Życia. To on posłał mnie i was wszystkich.

Wśród zebranych podniósł się szmer. Ktoś inny, zachęcony rozprężeniem, odważył się dać upust swojemu wzburzeniu:

— Jakim to prawem zostaliśmy wcieleni do armii!? Prawo mówi, że żaden monarcha nie może...

— Prawa — syknął dowódca. — Prawa się zmieniają. To, co dzieje się teraz niedaleko, zło, wyrządzane niewinnym, złamało kodeks ustanowiony przez naszych pradziadów. To oni wiele wiosen temu wrócili do lasu, z którego pochodzą, a z którego my czerpiemy teraz wszystko, czego potrzebujemy do życia.

Przerwał, aby przyrzeć się zgromadzonemu. Podkomendni patrzyli na niego z nieufnością, a nawet z cieniem drwiny, postanowił więc mówić dalej:

— Wy, nieszczęśliwcy... Ale i ja, bracia! I ja musiałem porzucić moje dotychczasowe życie. Bardem, bracia... bardem chciałem zostać, zostawić wojaczkę, przez którą utraciłem pierworodnego syna...

Zamilkł. Echo jego słów długo huczało w mrocznym lesie, docierając do uszu każdego, kto chciał słuchać.

— Ale padł rozkaz — podjął ciszej. — Myślicie, że jestem narwańcem, tępyim żołdakiem werbującym każdego odrośniętego od ziemi elfa ku uciezce swego suwerena...? Myślicie, że mojemu panu zachciało się zagarnąć kolejne terytorium...?

Pytanie zawisło między stojącymi. Nikt nie śmiał odpowiedzieć. Napięcie i strach zaczęły opadać, robiąc miejsce nowemu

uczuciu. Nieśmiałemu, zrodzonemu na nowo w sercach elfów współczuciu.

Oblicza zebranych zaczęły się powoli wygładzać. Piechurzy raz po raz kiwali głowami, jakby docierała do nich waga słów dowódcy.

— Los posłał nas wszystkich na jednakie zatracenie — wznowił przemowę. — Nie dane nam było się przygotować. Nikt nie wie, skąd zło się tutaj wzięło, ale jasne jest, że kroczy ku nam nieprzerwanie, niszcząc i paląc wszystko na swej drodze.

Ktoś w głębi tłumu poruszył się niespokojnie.

— Wodzu? — dobiegło z oddali.

Wysoko ponad zebranymi unosiła się dłoń.

Elf ten musiał przybyć z daleka — różnił się od pozostałych, a na jego plecach wisiał drewniany kołczan pełen długich strzał.

— Wybacz mi moją śmiałość, dowódco, ale przeciw komu właściwie walczymy?

Oficer milczał. Trwał tak długo, ale przez zgromadzenie nie przebiegł nawet najcichszy szmer. Wszyscy czekali na odpowiedź, która zmaże trapiącą ich umysły niepewność.

— Tylko dusze poległych znają odpowiedź na to pytanie. — Dowódca uważnie dobierał słowa.

Opuścił głowę, jak gdyby nie potrafił spojrzeć w oczy swojemu rozmówcy. Jak gdyby czuł, że chociaż wyznał prawdę, sprawił zawód tym, którymi miał dowodzić. Wszyscy jednak stali razem z nim nieporuszeni.

Wojownik ponownie się wyprostował i wejrzał w oczy stojących najbliżej. Zauważył coś, co nie powinno się w nich znaleźć. Nadzieję. Nawet Chase spoglądał teraz na dowódcę, czując, że ma w nim jedyne oparcie. W końcu podzielał ich los — nie mógł więc kłamać.

Ręka oficera powędrowała do rękojeści miecza. Zgrzytnęło żelazo, po czym ostrze wzniosło się wysoko ponad głowę swego właściciela.

— Musimy się zjednoczyć — zagrzemiał dowódca. — Każdy

z nas musi pamiętać o swoich braciach i siostrach. — Popatrzył po zgromadzonych i dodał: — Czy pójdziecie za mną?

Wśród elfów rozbrzmiał pomruk akceptacji.

— Czy będziecie walczyć w imieniu wszystkich elfów, w imię wartości, które zło przyszło zdeptać?!

W szeregach podniósł się teraz okrzyk.

— Czy pójdziecie walczyć z nieznanym, które nadeszło znikąd, aby pozbawić nas naszego spokoju?!

Żołnierze ponownie ryknęli na znak zgody.

— Czy gotowi jesteście oddać życie za krainę szczęśliwej młodości, za swoją kolebkę...?!

Jego słowa zagłuszył świst. Zaraz po nim rozległ się huk eksplozji. Nikt nie zdążył się poruszyć. Coś grzmotnęło w las nieopodal. Ogłuszone elfy natychmiast padły na ziemię. Siny dym wypełnił powietrze.

— Do broni, bracia! — zawołał dowódca.

Kolejny huk wstrząsnął lasem.

Wszyscy natychmiast wstali. Podniosła się wrzawa pomieszana z brzękiem wyciąganych mieczy.

— Wróg jest coraz bliżej! — krzyczał wódz do zebranych. — Nie możemy dłużej czekać! Niech poczują smak zemsty! Niech rozbiją się o nasz gniew!

— Hurra! — zabrzmiało wśród drzew. — Naprzód!

Wszyscy jak jeden mąż pobiegli za dowódcą i jego świtą.

Chase, ściskając w dłoni rękojeść miecza, ruszył przed siebie gotowy w każdej chwili rozpocząć walkę. Mimo unoszącego się wokół pyłu oddychał szybko i gwałtownie. Czuł wzbierającą w swym ciele furję. Chciał walczyć. Musiał walczyć. Nikt nie miał prawa naruszać spokoju leśnych elfów.

Nie zwracał uwagi na drogę. Biegł. Mijał spowite dymem drzewa, lecz nie widział ich. Wsłuchiwał się w tumult przedzierającego się przez gęstwinę oddziału. Gałęzie smagały jego twarz, uderzały go w pierś. On jednak parł naprzód, wiedziony przez przywódcę gotowego poświęcić własne życie dla ratowania elfickiej rasy.

Po rozpaczy minionej nocy znowu wiedział, że żyje. Budził się w nim instynkt. Pragnął ochronić ziemię i wartości swego ludu. Pragnął ochronić bliskich...

I chociaż znów przed oczami ukazała mu się twarz Iaen, szybko przesłoniło ją bitewne uniesienie, które udzielało się w oddziale każdemu — nieważne, czy był wojownikiem od czasów młodości, czy stał się nim, powołany przez wyrok losu.

Mrok ustępował. Las się przerzedzał.

Wypadli na porośniętą kępami trawy równinę.

Na horyzoncie wznosiły się czarne słupy dymu.

• • •

Na południu raz po raz rozlegały się grzmoty. Nikt nie wiedział, z kim się zmierzy. Wojownicy, zebrani na skraju lasu wśród prowizorycznych umocnień, mogli tylko nasłuchiwać i patrzeć w nadchodzącą w ich stronę ciemność.

Chase czekał wraz z innymi w płytkim dole. Kazano im się okopać. Marnie im szło. Cała linia obrony składała się z kilku rzędów prymitywnych rowów. Łucznicy schowani byli głębiej w lesie, aby z bezpiecznej pozycji jak najdłużej prowadzić śmiercionośny ostrzał.

Wśród wcielonych do armii Chase dojrzał również kobiety. Wmieszane w tłum mężczyzn początkowo były niewidoczne. Teraz dostrzegał je coraz częściej. Najpewniej kultura odległych osad różniła się od tej, którą znał z rodzinnych stron.

Jedna wojowniczką szczególnie przykuła jego uwagę. Choć drobna, dzierżyła półtoraręczny miecz. Wyglądał na krasnoludzką. Musiał być zdobyczą z wcześniejszej bitwy. Elfka z pewnością wzięła w swym życiu udział w wielu potyczkach. Bacznie obserwowała równinę, czasem kierując spojrzenie zielonych oczu na pozostałych wojaków, jakby oceniała ich przygotowanie do walki.

Chase był jednym z nich. Odnaleźli się wzrokiem, lecz go zignorowała. Zapatrzyła się w dal. Drobne palce poruszyły się po-

woli na mieczu, raz i drugi, jak gdyby tylko one mogły zaświadczyć o narastającym w kobiecie napięciu.

Mrok przed nimi narastał. Stawał się ogromną burzową zasłoną, zza której nic nie było widać. Chase'owi i jego towarzyszom zaczęła udzielać się trwoga, lecz wciąż stali nieporuszenie na swoich miejscach, niczym kapłani na świętych posterunkach.

Z początku myślał, że słyszy tętent kopyt zmieszany z tumultem biegnących piechurów. Dźwięk jednak zmieniał się bez przerwy, przywołując w wyobraźni coraz to inne obrazy. Ciemność była wciąż bliżej i bliżej, parła przed siebie bez ustanku.

Odgłos pędzącej piechoty narastał, aż wreszcie, kiedy hałas zapanował nad całą pogrążoną w cieniu krainą, zza zasłony pyłu wyłoniły się pierwsze sylwetki. Nie minęła chwila, gdy rozproszone jednostki nabrały określonej formy. Ku elfickim umocnieniom zmierzał szereg złowieszczych istot. Za nimi z chmury wysuwały się kolejne — zwałiste i depczące zieloną trawę równiny. Ich pochód wprowadził ziemię w drżenie.

Chase nie mógł oderwać wzroku od straszliwego widoku nadciągających wojsk. Różnej długości ramiona, głowy przytwierdzone bezpośrednio do korpusów, grube odnóża wystające z boków... Z ich pysków unosił się nieprzerwany strumień dymu. Nie rozumiał, dlaczego nie padło jeszcze hasło do ataku. Gdzie podział się dowódca, który swą charyzmą natchnął go do walki?

Gdzieś dalej, jakby sponad umocnień, dosłyszał niewyraźny głos. Z początku słaby, teraz nabierający siły, nie należał jednak do wodza.

Elfka, którą Chase obserwował, stała teraz powyżej linii okopów. Z jej rozchylonych ust płynęła pieśń. Rozbrzmiewała coraz głośniej, aby w końcu wznieść się ponad huk armii. Mimo zagrożenia kobieta stała, oparłszy dłonie na wbitym w ziemię mieczu, i śpiewała... Hymn, o którym nie pamiętał już prawie nikt. Dawno niesłyszaną bojową pieśń wysokich elfów z Norderdu.

Chase nigdy nie słyszał czegoś podobnego. Nie rozumiał słów, lecz czuł, jak jego serce uwalnia się z okowów strachu.

Głos walecznej elfki przepływał przez jego ciało. Poruszony zacisnął zęby i czekał...

Wtem pieśń umilkła. Choć nikt nie mógł tego dostrzec, dziewczyna rozwarła gwałtownie oczy, z jej krtani zaś dobył się zagłuszany przez grzmot jęk. Zadrżała, zaciskając dłonie na swym orężu. Nogi ugięły się pod nią. Przyklęknęła na szczycie okopu i zwiesiła głowę. Z jej ust wypłynęła struga krwi. Wstrząsana spazmem elfka zalała szkarłatem trzymany wciąż w dłoniach miecz. Oczy straciły blask. Dusza uleciała. Ciało upadło.

W martwym sercu utkwiał pocisk. Tego dnia elficka krew została przelana po raz pierwszy.

— Pomścimy! — podniósł się rwetes. — Pomścimy! Naprzód!

Z okopów wylała się ucieleśniona zemsta. Chase stanął w pierwszym szeregu. Biegł ile sił na agresorów. W żyłach tętnił mu tylko gniew.

Natarł na jednego z wrogów. To był człowiek. Odciął mu rękę. Głowa drugiego pofrunęła w powietrze. Chase nie widział, że noszący szare mundury żołnierze mają przy sobie nieznaną broń. Nie widział stalowych hełmów na ich głowach. Nie widział determinacji w ich błękitnych oczach. Mógł tylko przeć przed siebie wśród stukotu broni, szczęku mieczy i świstu strzał.

Zjednoczeni różnili, cięli i rozbijali barbarzyńską hordę. I jeden za drugim ginęli pod jej brutalnym natarciem.

Chase poczuł, jak ktoś chwytą go za ramię. Gotowy do uderzenia odwrócił się. I wtedy po raz pierwszy przyjrzał się przeciwnikowi. Był inny niż reszta.

Wyglądał jak człowiek. Miał ciało i ubiór człowieka. Ale twarz... Trupia maska i zgniła zieleń świecąca z pustych oczodołów.

— *Saaa* — syczał nieumarły, rozwierając uzębioną paszczę. — *Saaa... fn!*

Ciałem elfa targnęła niewidzialna siła. Odrzuciło go. Do jego uszu dotarło chrupnięcie łamanego kręgosłupa — kręgosłupa wojownika, który znalazł się pod nim.

Poderwał się na nogi. Nie spostrzegł nawet, że pod ciężarem buta rozpada się czaszka poległego. Szara masa mózgu zbrukała trawę.

Nieumarła bestia wciąż czyhała na jego życie. Przedarła się przez walczący tłum i znalazła się niebezpiecznie blisko. Chase przymierzył się do ataku. Z ust stwora wystrzelił język. Długi na dwa metry owinał się wokół miecza, po czym wyrwał go z rąk bezradnego wojownika. Osłupiały elf zacisnął pięść i runął przed siebie.

Powalił nieumarłego na ziemię. Jedna myśl kołatała się w jego umyśle:

Skurwiel oberwie!

Pięść elfa wbiła się z młaśnięciem w ohydny twarz. Truposz nie pozostawał dłużny. Chase przyjmował kolejne razy, lecz nie odpuszczał. Tłukł zawzięcie. Rozbita na miazgę głowa nieumarłego rozlała się dokoła. Przeciwnik zadygotał i szczeł. Elf natychmiast powstał i runął w wir walki.

Chociaż stracił miecz, tłukł żołnierzy pięściami. Chociaż prawie łamał sobie kości na stali hełmów, nie ustawał. Omijał zwinnie ciała poległych towarzyszy. Roztrącał zwłoki przebitych strzałami najeźdźców i bił nieprzyjaciela.

Walczących towarzyszy było jednak coraz mniej. Kolejni upadali, ranieni ostrzami bagnatów. Dziesiątki, setki, tysiące elfów przeszytych zabójczymi pociskami karabinów padło na ziemię.

Lecz najgorsze miało dopiero nadejść.

Jęki umierających i krzyki wojowników milkły. Za plecami Chase'a coś zgrzytnęło. Odwrócił się, by stanąć do walki z kolejnym monstrem.

Tym razem ujrzał coś innego. W jego kierunku stąpał stalowy demon. Potężne cielsko błyszczało wśród wzniesanego kurzu. Stal kryjąca pierś bestii była w wielu miejscach poryta bronią dawno poległych wojowników i wgnieciona od uderzeń. W samym środku wytłoczono połamany krzyż: obcą dla Świata swastykę.

Robot bojowy, noszący złowieszcze imię *Kriegman Todesfürst*, skierował w stronę zeszywniałego Chase'a karabin automatyczny. Podobne jemu maszyny omijały go, zastępując poległych niemieckich żołnierzy, aby przypuścić atak na ostatnią linię elfickiej obrony.

Osamotniony elf wznosił przed siebie obolałe ręce. Był zdany na siebie. Większość jego pobratymców już zginęła.

Kriegman był coraz bliżej.

Śmierć... Śmierć była coraz bliżej.

Rozległo się dudnienie... Ale Chase nic nie poczuł. Jedynie wyciągnięte ręce zaślniły błękitnym światłem — blaskiem magii. Osłupiał. Choć wroga armia była inna niż te, które kiedykolwiek wstrząsały światem, choć walczyły w niej nieumarłe istoty, noszący obce mundury, uzbrojeni w broń palną ludzie i przerażające stalowe bestie — to właśnie światło najbardziej go zdumiało.

Robot nieustrudzenie nacierał. Szybkostrzelny karabin wciąż wyrzucał z siebie krocie pustych łusek. Elf natomiast stał otoczony błękitną luną magicznej tarczy.

I wówczas poczuł, jak traci siły.

To było zbyt piękne.

Pomyślał, że już wkrótce dołączy do poległych braci. Jego krew nakarmi ziemię i powróci do lasu, aby stać się pożywieniem dla żyjących.

Dudnienie cichło, jakby odgradzane niewidzialną ręką. Wrzawa przegrywanej bitwy stawała się nierealna niczym wczorajszy sen. Do elfa dotarło, że jeszcze tylko chwila, a śmierć upomni się również o niego i przyjdzie mu skonać w beznadziejnej walce.

Ale nie upomniała się.

Otworzył więc oczy.

— Kurwa mać — zaklął pod nosem.

Znajdował się kilka metrów nad ziemią. Widać śmierć się nie spieszyła. Co więcej, Chase poczuł w swym ciele nową moc. Jego ciało spowijał niebieski całun magii.

Pod nim stała niemiecka maszyna. Szukała utraconego celu.

Dusza elfa zagrzmiała:

— Giń!

Wyciągnięta ręka zalśniła na moment krwistą czerwienią. Pocisk runął ku wrogowi niczym piorun. W rozbłysku stalowe cielsko rozpadło się na kawałki. Jego korpus eksplodował, uwalniając rozpalone wnętrze. Wszystko wokół zalał potok płonącego paliwa.

Zaskoczony elf bez udziału woli odleciał w bok. Po chwili w miejscu, w którym dopiero co lewitował, pojawiła się ognista kula. Widząc poczynione zniszczenie, wzniósł w górę swe ręce i roześmiał się szaleńczo.

Tryumfował! Tryumfował nad mordercami! Był niepokonany!

Poszybował w górę. Dziesiątki luf ruszyły w ślad za nim. Niebo przecięły wstęgi pocisków smugowych. Zagrzmiało działo przeciwlotnicze. Podniosła się piekielna kanonada, a Chase wtórował jej histerycznym śmiechem. Za nic miał sobie wysiłki agresora.

Przepełniała go furia. Wyhamował lot. Zlustrował pole bitwy. W jego dłoniach zalśniła kula ognia. Błysk! Huk! W eksplozji zakończył służbę jeden z robotów. Drugi padł na ziemię. Jego odnóża się rozpadły. Duma niemieckiego przemysłu utknęła haniebnie w błocie.

Ale nagle...

Co jest!? — zaklął Chase w myślach.

Otoczająca go aura zgasła na moment. Wysiłkiem woli zdołał utrzymać się w powietrzu. W miotających pociski rękach stracił raptem czucie.

Poczuł na grzbiecie ciężar. W rozpaczę wygiął się w łuk. Próbował zrzucić niewidzialne pęta. Na nic zdał się jego wysiłek. Słabość narastała w nim z każdym uderzeniem serca. Wreszcie magiczny poblask zbladł niemal zupełnie.

I zgasł.

W jednej chwili ciało elfa uległo prawu ciężenia. Krzyknął. Wyrznął w błotnistą ziemię. Zamroczyło go.

Nie całkiem świadomy próbował dźwignąć się na nogi. W uszach mu szumiało. W oczach igrały świetlne refleksy. Nie rozumiał, co się wokół niego działo. Potrzęsnał głową. Zatoczył się. Ponownie upadł. Odpłynął.

Przytomność wróciła w ostatniej chwili, aby zdążyć zobaczyć swojego oprawcę. Niemiecką maszynę śmierci. Jej ramiona nie władały jednak zwykłą bronią. Żadna lufa nie spozierała na elfa bezdusznym wzrokiem. Zamiast tego zakrwawioną twarz wojownika rozświetlał zgniły zielony blask emanujący z prostego metalowego cylindra. Na jego szczycie widniała swastyka wpisana w odwrócony pentagram.

Nieopodal leżał martwy niemiecki żołnierz. Z jego pleców sterczała elficka strzała. Robot niespodziewanie skierował na niego swoje ramię. W pancernym korpusie coś trzasnęło. Ramię zaślniło blaskiem, który spłynął na martwego piechura. Nie ruchome ciało przeszły wstrząs.

Zwłoki zaczęły się podnosić.

Chociaż powstał, żołnierz nie odzyskał życia. Nie mógł go otrzymać od maszyny, która w istocie zawsze pozostanie martwa. Stał się nieumarłym.

Głowa wskrzeszonego obróciła się o nienaturalnie duży kąt. Wypełnione trupim światłem oczy nie wyrażały żadnych uczuć. Siną dłonią chwycił drzewce sterczącej z pleców strzały. Nastąpiło głośne chrupnięcie. Uwolniony pocisk wraz z zatkniętym na grocie strzępem mięsa upadł na zdeptaną ziemię.

— *Wo ist der Tod?* — skrzeknął żołnierz. — *Ich bin gestorben, also warum lebe ich, du Schwein?*¹

Cierpiący elf nie musiał długo szukać odpowiedzi.

— Weź nie pierdol — jęknął i splunął krwią.

Nieumarły roześmiał się straszliwym rechotem.

Chase struchlał. Stojąca przed nim istota napawała go odrazą, ale też hipnotyzowała wzrokiem. Niemal zapomniał, że po-

¹ *Wo ist der Tod...* (niem.) — Gdzie jest śmierć? Umarłem, więc czemu żyję, ty świnię?

twór zmartwychwstał dzięki czarnej magii, którą dysponował stojący wciąż przed nim robot.

Potężny czarnoksiężski oręż wymierzony był teraz w elfa. Coś stuknęło. Powietrze zadrżało. Pięcioramienna gwiazda ponownie zaślniła zielenią.

Chase poddał się. Czekał... Czekał, aż przed jego oczami zaślni jadowite trupie światło. Czekał, aż utraci cielesną powłokę, a jego dusza stanie się łupem demonów. Nigdy nie zjednoczy się z przodkami.

Nie zobaczył jednak blasku. Nie doświadczył gwałtownej agonii. Po prostu... nagle wszystko przepadło.

Została tylko czerń nieistnienia.